

Kronika tygodniowa.

No, chyba nie można narzekać, że niema o czym pisać. Poczciwy Kraków, jak długi i szeroki, mówi i pisze tylko o morderstwie, którego ofiarą padł s. p. Świszczowski, kierownik księgarni Gebethnera i spółki.

Przy tej okazji dowiedzieliśmy się, że tylu mamy między sobą Sherlocków Holmesów, ilu Kraków liczy mieszkańców, którzy ukończyli bodaj cztertnasty rok życia, a nie przekroczyli dziewięćdziesiątki. Każdy kombinował na własną rękę, kto był mordercą, ilu ich było, co się z nimi stało, policję zasypywano po prostu anonimami, gdzie ich szukać, opowiadano sobie na ucho najfantastyczniejsze historie, a niedowiarkowie twierdzili, uśmiechając się złośliwie:

— A ja panom powiadam, że oni ich nie złapią! Proszę mi powiedzieć, gdzie jest morderca s. p. Sienickiej, Góreckiej i Prochownika!

Gdy się dowiedziano, że pan „Prinz“, policyjny pies z Morawskiej Ostrawy, jada tylko ryż, aby nie stracić węchu, zaczęto objadać się ryżem, czy go kto lubi, czy nie, kupcy krakowcy telegraficznie zamówili kilka wagonów wprost z Chin, by pokryć wzmożone zapotrzebowanie.

Ot, nie chwalcą się i ja przez dwa dni jadłem tylko ryż, a przez dwie noce z rzędu szukałem śladu morderców. Nie moja wina, że ich nie znalazłem.

Ponieważ ogłoszono, iż domniemany zbrodniarz bezpośrednio po spełnieniu czynu wystrojony był w długą jasną zarzutkę, właściciele podobnych części ubrania bali się w nich ukazywać na mieście, by na się nie ściągnąć podejrzeń i nie dostać się przypadkowo na rekolekcje „pod Telegraf“.

Najlepszy interes zrobił na tem pan Aron Gajer, który przez jeden dzień kupił bardzo tanio sto trzydzieści siedm zarzutek jasnych, a byłby kupił jeszcze więcej, gdyby nie święto Nowego Roku 5674.

— Panie Aron! Jasna zarzutka! — woła młodzieniec elegancki.

— Jasna zarzutka?... Co mi po niej! — odpowiada na to poważnie zagadnięty. — Ale niech stracę! Dam dwa korony... A może pan dobrodziej ma jaką starą marynarkę?... Dobrze zapłacę!

Ja sam w ten sposób pozbyłem się też długiej, jasnej zarzutki, ale jej nie żałuję, była bowiem porządnie już przez mole zgryzioną.

— U wa!... — powiada Aron, oglądając ją lekceważącym wzrokiem. — To jest same dziury! A gdzie jest z przeproszeniem zarzutka?...

Najwięcej sensacji obudził wspomniany już wyżej amator ryżu i kawy, pan „Prinz“, policyjny, podobno bardzo inteligentne psisko, które o mało nie umie czytać, pisać, rachować, śpiewać, grać i t. d., a które ogromnie było zdziwione, widząc tylu gapiów, zalegających Rynek krakowski.

— Panie wachmistrzu — rzekł „Prinz“ do swego towarzysza — ci Krakowianie muszą mieć bardzo dużo wolnego czasu!

— Masz pan rację, panie „Prinz“... Jak pan to trafnie zauważył... Sprzedają go nawet! Numer wieczorny pięć centów, poranny tylko dwa.

— Musimy sobie kupić! Ciekawy jestem, co tam o mnie piszą. Podobno jakiś „Nyguś“ chce mnie naśladować, ale upewniam pana, że mu się to nie uda! Gdyby mnie w „Secesyi“ byli bodaj kawą poczęstowali... Słyszałem wiele o staropolskiej gościnności, teraz widzę, że to błąd!... Na pamiątkę mej bytności w Krakowie podpisałem się na latarni i zasypałem potem kurzem, bo piasku nie było pod ręką... raczej pod nogą!...

Interviewowano biedaka „Prinza“ kilka razy, zachował przecież, pomny swego oficjalnego charakteru, dyskretne milczenie, tłumacząc się tajemnicą urzędową, której musi dochować ze względu na toczące się śledztwo.

Pan „Prinz“ nie spisał się wcale, to samo można powiedzieć i o koledze jego, panu „Dzoku“, który przybył z Białej, a władając tylko niemieckim językiem i to do tego dość słabo, nie mógł się z nikim porozumieć.

Najciekawsze, że na Rynku, podczas śledztwa prowadzonego przez pana „Prinza“, byli podobno i sprawy bestyalskiego mordu, ciekawi, jak on też wygląda podczas urzędowania! Wogóle spostrzegłem tam wiele osobników tego rodzaju, które nieraz jeszcze będą miały niezbyt może miłą sposobność wejścia w bezpośrednią styczność urzędową z czworonożnym detektywem...

Obeszło się jednak bez pomocy „Prinza“ i „Dzoka“, ku ogólnej radości Krakowian mordercy, w liczbie czterech, są już pod kluczem, znalazły się nawet złobowane pieniądze.

Malkontenci, a gdzież, ich niema, kiwają znów głowami i powiadają:

— Czy to potrzebny taki pośpiech?... Powinno się było wynaleźć najpierw morderców s. p. Sienickiej, potem Góreckiej, potem Prochownika... Trzeba we wszystkim zachować chronologiczny porządek...

— Tak to trudno każdego zadowolić! Nie było morderców, źle, są, znowu źle! Kraków skorzysta na tem, tyle, że będzie miał psa policyjnego, choć, o ile pamiętam, miał już jednego. Nazywał się „Wilk“, a odznaczał się tą specjalnością, że pił piwo z ogromnym apetytem, ale też dzięki owemu właśnie pijaństwu, zwiczył sobie karierę i przeszedł w dobrze zasłużony stan spoczynku.

A *propos* śmierci s. p. Świszczowskiego nasuwają mi się pod pióro dwie uwagi.

Na cmentarz, gdzie z domu przedpogrzebowego odbyć się miał pogrzeb nieszcześliwej ofiary, pospieszyły tłumy przyjaciół i znajomych s. p. zmarłego, nie brakło przecież i ciekawych, zwłaszcza rodzaju żeńskiego, różnego wieku i tuszy.

Na własne uszy słyszałem następującą rozmowę:

— Pani kochana! Obiadu nie dojadłam, pędzę, co mi sił starczy, by zobaczyć nieboszczyka, a tu, powiedz pani, trumna zamknięta!... O mały figiel nie rozjechali mnie w podkopie i wszystko na nie!

— To pani znała nieboszczyka?

— Nie, moja pani! Ja tam tylko tak z prostej ciekawości, by mieć potem o czym pogadać z kumskami!

Albo, proszę mi powiedzieć, czy to nie jest oburzające, gdy się widzi różne jednostki, naturalnie wyłączone znowu rodzaju żeńskiego, które całą siłą pchają się ku samemu grobowi jedynie po to tylko, aby się przypatrzeć rodzinie zmarłego, jej zachowaniu się, ubraniu i t. d., by potem język miał robotę.

A ten szpaler ciekawych koło bramy cmentarnej, zaglądających impertynencko w oczy powracającym z pogrzebu uczestnikom żałobnej ceremonii, jakby kpić sobie chcieli z ich smutku i bólu... To jest napiętnowania godne i powiedzmy wprost, nie obwijając w bałę, wstrętne!

— Taki babsztyl zostawi dom na Boskiej Opatrzności, a goni, co sił starczy, by zaspokoić swą ciekawość. Odległość, niepogoda, błoto, jej nic nie odstraszy. Tam jednak, gdzie potrzeba, nie uświadczysz jej, tłumaczy się brakiem czasu.

Zauważyłem także, że coraz częściej spotyka się na cmentarzu flirtujące pary i to przeważnie niedorośków, którzy powinni pilnować książki, bo na miłość dość jeszcze czasu. Niejeden tato lub opiekun, uzbrojony w laskę lub cybuch, znalazłby tu bardzo wdzięczne pole do popisu. Ponadto spotyka się wielu, nawet inteligentnych rzekomo, mężczyzn, palących na cmentarzu papierosy, co nie licuje w żaden sposób z powagą miejsca.

Istnieje przecież służba cmentarna, która powinna na to zwracać baczną uwagę i pociągać winnych do odpowiedzialności.

Powie mi kto może, że jestem zacofany i nie idę z postępem, nie zgrywam się o to. Lepiejby było dla nas, gdybyśmy nie znali takiego postępu, z jakim się dziś spotykamy prawie na każdym kroku, a który zasadza się na tem, aby tobie było tylko dobrze w życiu i wygodnie. Pnij się w górę, choćby po trupie drugiego!

Charakterystyczną ilustracją tego, powiedzmy „ducha“ dwudziestego stulecia, to cyniczne odezwanie się jednego z morderców s. p. Świszczowskiego, który, zapytany o motywy zbrodni, odparł z pełnym spokojem:

— Dziś tylko w ten sposób może człowiek dojść do pieniędzy!

Dajmy jednak spokój tym smutnym wywodom, zajmijmy się czem innem, co, sądzę, każdego powinno ucieszyć.

Choć może źle się wyraziłem! Jest przecież pewna kategoria ludzi, która dzięki nowemu wynalazkowi będzie poważnie zagrożoną w swej egzystencji, a są to, proszę się nie śmiać, karawaniarze. W niedługim już czasie powinni zupełnie zniknąć z horyzontu, dobrze więc, że bodaj Wyrwicz postarał się ich uwiecznić.

Mam na myśli notatki dziennikarskie o odkryciu, jakiego dokonał niejaki, jak go zowią skromnie, cudotwórca, profesor i t. d. Carrel z Ameryki. Długo czas swych studiów poświęcił on wyłącznie kwestyi nieśmiertelności, a owoce jego badań są podobno istotnie zadziwiające. Ani na chwilę nie wątpi, że już w krótkim czasie uda mu się wynaleźć taki preparat, któryby mógł ciało stale uchronić od śmierci.

Ostatnie próby przeprowadził na niewinnym kucy, które z powodu podeszłej starości stawało się coraz bardziej niezdolnym do życia. Nie pozostawiało mu nic innego, jak pójść śladem tylu towarzyszek i towarzyszy i dostać się na rozeń lub brytannę, by

tam udawać tak zwaną styryjską „pularde“... (Patent krakowskich restauratorów! przyp. zecera).

W sam czas zjawił się przecież pan Carrel, który tej właśnie kury-emerytki użył do zbadania swego „Eliksiru nieśmiertelności“. Wykąpawszy się w nim kilkakrotnie, dzięki odżywczym pierwiastkom, kura odzyskiwała widocznie humor, siły i apetyt, a nawet czułem okiem (w starym piecu dyabeł pali!) poczęła zerkać ku sąsiedniej klatce, gdzie przebywał towarzyszy jej młodości, kogut, dziś już także emeryt.

— Carrel zaczął ją karmić ziarnem, namoczonym w tym życiodajnym płynie, z każdym dniem stawała się coraz żywszą i pozornie młodszą.

Jeśli to, co się udało z kurą, powiedzie się i z człowiekiem, marzenia całej ludzkości przybiorą konkretną formę, lekarze, aptekarze, fabrykanci trumien i przedsiębiorcy pogrzebowi będą zmuszeni ogłosić bezrobocie... Najgorzej na tem wyjdzie przecież skarb państwa, który już i bez tego ma dość kłopotu z emerytami, a tu zanoszą się na to, że odtąd będą oni pobierać zaopatrywanie na starość przez lat dwieście lub trzysta, to jest, dopóki im się nie sprykrzy. Wobec tego trzeba będzie zmienić przepisy pensyjne i oświadczyć, że na emeryturę przechodzi się dopiero, dajmy na to po stu pięćdziesięciu latach nienagannej służby.

Wynalazek Carrela sprowadzi więc najzupełniejszy przewrót w dotychczasowym życiu, nieboszczyka Matuzala, który dotąd cieszył się światowym rekordem długowieczności, zapędzi się w ką, tysiącletni osobnik nie będzie niczem dziwnym.

Zastrzegam się przecież, że wiadomość ta, jako importowana z Ameryki, może się okazać fałszywą, dlatego też proszę P. T. Interesowanych, aby, o ile zechcą zasięgnąć jakichś bliższych wiadomości, nie zwracali się listownie do mnie, ale wprost do wynalazcy. Adres: Carrel, poste restante Ameryka, zupełnie powinien wystarczyć.

Naszym panom wynalazcom radziłbym, aby i oni zaczęli pracować na tem samem polu, może i im uda się jakiś podobny wynalazek. Na razie pan Władysław nazwał tradycyjną „jeneratówkę“ eliksirem nieśmiertelności i miał rację.

Życie sportowe kwitnie u nas w całej pełni, zwłaszcza football zdobył sobie w całej Galicyi już prawo obywatelstwa. Cóż jednak począć, tu i ówdzie spotykamy się i to coraz częściej z narzekaniami na brak dobrych sędziów i na bardzo niekulturalne zachowanie się publiczności.

Rekord pono zdobyła sobie w tym kierunku publiczność lwowska, która podczas ostatniego meczu, rozegranego przez „Cracovię“ z „Pogonią“ zachowaniem swem przypominała wojenne tańce Indian lub Papuasów, a w dowód radości z przybycia Krakowian z nad Wisły nad Pełtew obsypała ich gradem... kamieni.

Wobec tylu i tak ważnych spraw, które zajęły w ubiegłym tygodniu opinię publiczną, nie też dziwnego, że nie zajmowaliśmy się cięższą polityką... a nad zawiłkami bałkańskimi przeszliśmy po prostu do porządku dziennego.

Król Konstantyn miał po drodze zawadzić o Wiedeń, musiał przecież zrezygnować z tej wizyty, po pierwsze brakło mu bowiem konceptu do nowej mowy, po drugie zaś spieszył się do ojczyzny, gdyż Turcy coś tam zaczynają się ruszać i teraz, z kolei, radziby odebrać Grekom ich zdobycze.

Może więc, jeszcze w tym roku, doczekamy się nowej wojny bałkańskiej!



Kobiety naszego kraju mają cerę z natury ładną, lecz bardzo wrażliwą na mróz, słońce zanadto palące. Aby zapobiedz opaleniznie, odmrożeniu, czerwoności, a nawet i piegom, używać należy do codziennej toalety *Crème Simon*, puder ryżowy i mydło Simon. Proszę nie pomylić z innymi kremami. J. Simon Paryż i w aptekach, perfumeryach, drogueryach.

53

Papierki i tutki
cygaretowe

ABADIE
PARYŻ

Do nabycia we wszystkich trafikach